

Dlatego też w początku swego opowiadania zapytał doktora o możliwość dwoistości.

Noc następna podtrzymała moje uczucia. Znalazłem się w pokoju młodej panny, gdzie postać ta siedziała już w fotelu przy kominku, jakby mnie oczekiwała. Przyjęła mnie poufale i podała rękę.

— Dzień dobry, iluzjo — rzekła. — Zaczynam myśleć, jak i pan, że śnię tylko i że pańska wizyta jest plodem mej wyobraźni.

— Nie mamy możliwości przekonania się, czy to jest rzeczywistość, czy złudzenie.

— Opowiedziałam mamie swe sny, lecz nazwała je bezsensownymi; mimo to była bardzo zdziwiona, gdy rzekła, że tatko czytał *Figaro* w łóżku. Mówiła o tem tatkowi, który także zdziwił się. Wspominałam też i o tem, że wołałam go po imieniu i brałam za rękę, roześmiał się jednak tylko na to. Już nie będę śmiała wyjawiać im swych snów.

— A ja swoje opowiedziałem pewnemu lekarzowi. Uważa je za bardzo ciekawe.

— Prawda, że nie skłamałem, doktorze? — zapytał mnie pan Leyre.

— Bezwarunkowo nie, powiedział pan tylko prawdę. Lecz co dalej się stało?

— Postać zapytała mnie o nazwisko doktora i ja je wymieniłem.

— Doktor Heurtault? Ten, który zajmuje się chorobami nerwowymi?

— Tak.

— Co panu powiedział? Musiał uważać się pan za chorego, kiedy poszedł radzić się go?

— Tak! Uczucie paraliżu, jakiego doznawałem przy pierwszych swych snach, bardzo mnie niepokoiło. Uspokoił mnie, choć nie przepisał żadnego lekarstwa, a dał tylko pewne wskazówki.

— Jakże?

— Przedewszystkiem, bym uważał sztachety za możliwe do przejścia i miał wolę je przejść. Zastosowałem się do tego i mogę przebywać wszelkie przeszkody. Pani również doświadczyła tego przedwczoraj.

— Tak, to prawda. Lecz kto pan jest? Już od tylu dni widuję pana w swym pokoju, a nie wiem jeszcze, kim jest mój gość.

Pan Leyre chciał pominąć wszelkie dotyczące go szczegóły, prosiłem go jednak, by je wymienił.

— Powtórzę więc panu naszą rozmowę możliwie najdokładniej. Postać zażądała, bym dał jej informacje o sobie. Uskuteczniłem to w sposób mniej więcej taki: nazywam się Antoni Leyre, mam lat dwadzieścia ośm. Ojciec mój był właścicielem ziemskim w Medoc i wkładał wszystkie swe oszczędności w uprawę roli. Naśladował w tem mego dziadka: prowadził poważnie winnice. Nadszedł jednak czas niepowodzeń, ukazała się filoksera, pustosząc wszystko, a przytem kupcy zaczęli podrabiać nasze wino. Zyski zamieniły się w niedobory, a wreszcie i w straty. Nastąpiła nieunikniona ruina, której ojciec nie przeżył. Umarł wkrótce, pozostawiając matkę ze mną w zupełnej biedzie. Przygnieciony ciężarem tych wspomnień, zamilkłem. Nie mogłem przypominać ich sobie bez wielkiego wzruszenia. Opowiadałam postaci ten bolesny okres życia, widząc znowu w pamięci rozpacz mego ojca, gdy go licytowali, boleść ostatnich jego chwil, nie mogłem opanować się i oczy me napęły się łzami. Chciałem ukryć to i oparłem łokcie na kolanach, zakrywając sobie twarz rękami. Wyznać tutaj muszę doktorowi, iż nigdy jeszcze koniec życia mego ojca tak mnie nie przejął, jak w tej chwili. Nie mogłem mówić, łkanie tłumilo słowa. Pozostawałem tak przez kilka chwil.

Nagle uczułem, jak dwie ciepłe i delikatne ręce odciągają moje; podniosłem głowę i ujrzałem postać klęczącą przy mnie; wzięła moje ręce i ściskając je serdecznie, rzekła czule:

— Niech pan nie płacze. Lecz i jej oczy były zalane łzami i patrzyły na mnie z takim współczuciem i miłością, iż uczułem, że serce me staje się za wielkie na moją pierś. Zacząłem łkać i obudziłem się zapłakany.

Następna noc zawiodła mnie znowu do tego pokoju, podszedłem odrazu do postaci, która siedziała przy kominku. Podała mi rękę z czułością, co mnie zmieszało.

— Zniknął pan wczoraj nagle w chwili najbardziej interesującej swego opowiadania. Pragnę bardzo dowiedzieć się reszty.

— Jest ona bardzo banalna — odpowiedziałem. — Skończyłem kollegium, rozumiejąc dobrze, że praca jest koniecznością dla mnie. Jeden z przyjaciół mego ojca, profesor uniwersytetu, dał mi zajęcie w swym laboratorium: otrzymałem i kilka lekcji, tak iż zarabiałem do pięćdziesięciu franków miesięcznie. Życie mojej matki było zabezpieczone.

W oczach postaci malowało się uczucie dobroci, sympatii, czułości. Spojrzenie jej pocieszyło mnie a zainteresowanie, z jakim słuchała, dodało mi odwagi do dalszego opowiadania.

— Choć z trudem, mogłem jednak żyć — mówiłem jej. Zdałem szczęśliwie egzamina i zostałem kierownikiem laboratorium Durieux.

— Którego Durieux? Profesora chirurgii?

— Tak, jego. Cóż mogę jeszcze powiedzieć? Zrobiłem kilka prac, które znalazły uznanie i może z czasem zostanę profesorem.

— Tego pan najbardziej pragnie?



— Już teraz nie obawia się mnie pani? — zapytał z uśmiechem.

— Tak!

Po chwilowym milczeniu, którego nie śmiałem przerywać, postać zapytała o szczegóły życia obecnego, o me codzienne zajęcia.

— Życie moje jest bardzo proste — odrzekłem. — Od ósmej rano jestem w laboratorium, gdzie doglądam prac studentów; w południe idę na śniadanie do matki, której zdrowie jest bardzo słabe, potem o drugiej jestem z powrotem w laboratorium, z którego wychodzę dość późno. Razem z matką jem kolację, rozmawiam z nią lub czytam dzienniki do dziesiątej, poczem ona kładzie się spać a ja zasidam do pracy, którą rozciągam do północy.

— A pańskie wakacje?

— Od śmierci ojca nie miałem jeszcze żadnych. — Pan jest wzorowym synem, Pan Bóg nagrodzi Pana.

— Jaka szkoda, że to wszystko jest tylko snem? — odrzekłem z westchnieniem. Co za szkoda, moje rozkoszne złudzenie, że nie jesteś żywym stworzeniem.

Postać zarzuciła wdzięcznie ręce w tył na szyję i przechylając się, zaczęła się śmiać.

— Oh, jak godny jesteś litości, mój cieniu! Cóż mogę uczynić, by przekonać pana o swym istnieniu?

Mówiąc to, postać podniosła się i podeszła do biurka założonego papierami. Chciałem iść za nią,

lecz naraz obudziłem się. Było już widno; matka stała przy mnie.

— Jakże późno obudziłeś się dzisiaj? — rzekła mi. — Czyś nie cierpiący?

Uspokoilem matkę i pospiesznie ubrawszy się, podążyłem do laboratorium. Tu oczekiwała mnie ciężka praca. Profesor dał mi do zrobienia bardzo trudną analizę, którą winienem był skończyć w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin. Dwie noce spędziłem w laboratorium, broniąc się od snu czarną kawą, wczoraj za to położyłem się spać o piątej godzinie i odrazu zasnąłem twardo. Znalazłem się znowu w zwykłym pokoju, lecz nikogo nie spotkałem, z kuchni tylko dochodziły mnie jakieś odgłosy. Powróciłem do pokoju młodej panny i usiadłem w fotelu, w którym spędziłem ostatnie noce. Zacząłem rozmyślać o swoim szczególnym śnie, lecz wynikiem tego była tylko ogólna niepewność.

— Nad czym pan rozmyślał? — zapytał pana Leyre'a.

— Trudno to określić. Odczuwałem łagodne ciepło, które mnie przejęło błogością, jakiej zawsze doznawałem przy młodej pannie.

Zacząłem analizować się: naprzód zbadałem pamięć: wyrecytowałem kilka ustępów z *Odysei*, których uczyłem się w kolegium. Następnie poddałem egzaminowi swe wiadomości zawodowe: przypominałem sobie skomplikowane formuły chemiczne, co mi przychodziło bardzo łatwo. Wreszcie przystąpiłem do analizowania swego obecnego położenia i zbadania szczegółowego miejsca, w które mnie sen przenosił. Rozglądając się po pokoju, rzuciłem wzrokiem na zegar i ujrzałem założoną na nim z boku kartkę; był to arkusz listowego papieru z inicjałami L. F. Ze zdumieniem przeczytałem następujące słowa:

„Oczekiwałam złudzenia wczoraj i przedwczoraj. Pojechałam z wizytą do sąsiadów i wrócę koło jedynastej godziny.  
Lucya“.

Przyglądałem się jeszcze tej kartce, gdy usłyszałem dochodzący mnie zdala turkot, który stopniowo stawał się coraz głośniejszy. Wkrótce dobiegły mnie odgłosy rozmowy, zamykanie i otwieranie drzwi, szelest sukien damskich i moja młoda panna weszła do pokoju. Rozejrzała się dookoła, podeszła do zegara i ten arkusz papieru rzuciła do kominka. Usiadła na fotelu, na którym ja się znajdowałem: doznałem wrażenia, że przechodzi przezemnie, odczułem jednak przytem pewien bardzo lekki zresztą opór. Młoda panna nie okazała, iż spostrzega mą obecność. Po chwili weszła pokojówka, zdjęła jej trzewiki, odpięła stanik i gorset i zdjęła suknię. Moja nieznajoma pozostała tylko w krótkiej halce, okazując zgrabne małe nogi, okrągłe ramiona i części piersi. Włożyła na siebie szlafrok i wyszła do pokoju toaletowego. Nie śmiałem za nią iść, nie patrzyłem nawet, gdy wróciła i po zmówieniu pacierza kładła się spać.

Z szelestu kołdry domyśliłem się, że jest już w łóżku. Leżała na prawym boku, z głową na ramieniu: lewa ręka zwisała się. Włosy, związane niebieską wstążką, opadały na białe plecy; zamysłone jej oczy błędziły po pokoju.

— Czy jest pan, panie Leyre? — zapytała półgłosem.

— Jestem! — zawołałem żywo. — Jestem przy pani!

Ukląknę przy łóżku i usta swe przytknąłem do jej ręki. Lucya nie okazała żadnego wrażenia; nie widziała mnie, nie słyszała, nie czuła mych pocałunków.

Przypominałem sobie to, com dawniej czynił: położyłem rękę na jej oczach. Usnęła wkrótce i postać szybko zarysowała się, powstając z lekkiego niebieskiego oparu, który dobywał się z ciała śpiącej. Po kilku minutach postać była już zupełna; klęczałem jeszcze przy łóżku z ręką na jej oczach.

— Co pan robi? — zapytała mnie postać.

— Starałem się pomódz sformowaniu pani postaci — odrzekłem powstając.

(Ciąg dalszy nastąpi).